

Pamięć

Péter Nádas

Pamięć

Przełożyła Elżbieta Sobolewska

PROZA 47

Péter Nádas: *Pamięć*

PRZEKŁAD • Elżbieta Sobolewska

REDAKCJA I KOREKTA • Joanna Mueller

OBRAZ NA OKŁADCE • Attila Szűcs, „Red Room”

OPRACOWANIE GRAFICZNE • Artur Burszta

SKŁAD • Mateusz Martyn

DRUK I OPRAWA • PASAŻ Kraków

Copyright © 1986 by Péter Nádas

First published under the original Hungarian language title *Emlékiratok könyve*,

Jelenkor Kiadó, 1986

Copyright © by Elżbieta Sobolewska, 2017

Copyright © by Biuro Literackie, 2017

BIURO LITERACKIE

poczta@biuroliterackie.pl

www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-65125-67-5

UROK MOJEJ INNOŚCI

Mój ostatni berliński pokój wynajmowałem u Kühnertów, daleko, na Schöneeweide, na pierwszym piętrze willi porośniętej winem.

Czerwieniły się liście winogron, do poczerniałych owoców zlatywały ptaki, nadeszła jesień.

Nic dziwnego, że przypomina mi się ten pokój, od tamtego czasu upłynęły trzy lata, trzy jesienie, już więcej nie pojedę do Berlina, nie mam do kogo ani nie mam po co, dlatego właśnie piszę, że to było moje ostatnie berlińskie mieszkanie, dobrze o tym wiem.

Sam chciałem, żeby było ostatnie, ale stało się tak zupełnie niezależnie od mojej woli, aczkolwiek to bez znaczenia; i tym się pocieszam, kurując przykry jesienny katar, a mój mózg, nie będąc w stanie zająć się niczym innym, zakatarzony krąży wokół istotnych spraw i przypomina mi moje berlińskie jesienie.

Nie o to chodzi, że z łatwością przychodzi mi zapomnieć.

Na przykład o mieszkaniu na pierwszym piętrze, przy ulicy Steffelbauera.

Oczywiście nie wiem, czy może to interesować kogokolwiek poza mną samym.

Nie zamierzam pisać relacji z podróży, mogę opisać jedynie to, co należy do mnie, na przykład historie moich miłości, choć właściwie też nie, gdyż nie sądzę, abym potrafił opowiedzieć historię ważniejszą od moich osobistych doświadczeń, aczkolwiek nie wierzę już, że może istnieć coś większej wagi niż te nieistotne w gruncie rzeczy i nieciekawe wydarzenia, lub, mówiąc ściślej, nie wiem, czy może, i dlatego w to nie wierzę, i natychmiast idę na kompromis, coraz łatwiej idę na kompromis, czy będą to wspomnienia, czy cokolwiek, co mi coś przypomina, cokolwiek, co ma związek z bólem i rozkoszą, jakie łączą się ze wspomnieniami, niech będzie to coś takiego, co

człowiek pisze na stare lata, niech będzie to zacznyn tego, co pewnie poczuje za czterdzieści lat, jeśli w ogóle dożyje siedemdziesiątego trzeciego roku życia i będzie jeszcze cokolwiek pamiętał.

Katar powoduje, że wszystko dociera do mnie z większą siłą, żal byłoby przepuścić taką okazję.

Opowiem, dajmy na to, że do Kühnertowej przyprowadziła mnie Thea, Thea Sandstuhl, na ulicę Steffelbauera, w południowej dzielnicy Berlina, nazywanej Schöneeweide, czyli „piękna łąka”, która leży około trzydziestu minut od serca miasta, od Alexanderplatz, a jeśli ktoś spóźni się na zawsze punktualne połączenie autobusowe i musi czekać na deszczu, to czterdziestu albo nawet sześćdziesięciu minut.

Zorganizowała to mieszkanie czy, wyrażając się ściślej, jakoś je załatwiła.

W dniach spędzanych w towarzystwie kataru oczywiście przypomniała mi się także ona, choć dziwnym zbiegiem okoliczności wcale nie z powodu zwracających uwagę charakterystycznych rzeczy, które wyróżniały ją spośród innych: czerwonego sweterka, czerwonego puszystego płaszcza i niesamowitej ilości czerwieni obecnej w jej stroju, ani zmarszczek na dziewczęcej twarzy, delikatnych, lekko drżących bruzdek, których nie chciała niczym maskować, mimo że miała z nimi problem, co widać było po tym, jak sztywno trzymała szyję, wysuwała ją do przodu, jak gdyby mówiąc: proszę, tu jest moja twarz, taka się zrobiłam, stara i brzydka, proszę uprzejmie, a przecież też byłam piękna i młoda, możecie się pośmiać, choć to akurat nikomu nie przychodziło do głowy, bo wcale nie była brzydka, i zapewne opory, jakie budziły w niej pojawiające się zmarszczki, stały się przyczyną jej nieszczęśliwej miłości; lecz nie to przypomniało mi się w związku z Theą ani też nie to, jak siedzi w jego pokoju, czerwony fotel, białe firanki, czerwony dywan, raczej przypomniał mi się jej płacz i śmiech, wielkie, żółte od papierosów, końskie zęby, nie sceniczny śmiech albo płacz, bo ten niewiele ma wspólnego z prawdziwym szlochem, albo jak się złości i w jej zwężających się oczach widać drwinę, a sucha skóra na brodzie staje się napięta; przypomniało mi się jeszcze drzewko rosnące na dziedzińcu synagogi przy ulicy Ryke, ta sucha akacja jakoś mi się z nią kojarzyła, do pnia drzewka była przytwierdzona

tabliczka z napisem „Zabrania się chodzić po drzewach”, tylko że kto chce się wspinać na drzewo trzydzieści lat po wojnie, w piątkowy wieczór, na dziedzińcu synagogi we wschodnim Berlinie?, kto może na coś takiego mieć ochotę?, kiedy mówię do niej, że mam temperaturę, z oświetlonej bożnicy wylewają się na tonący w żółtym świetle podwórzec długie cienie Żydów, ona tymczasem matczynym gestem przykładami mi dłoń do czoła, ale widzę po jej twarzy, czuję, że nie sprawdza, czy mam temperaturę, ale raczej rozkoszuje się moją skórą, ciągle jeszcze młodą i pozbawioną zmarszczek.

Może właśnie dlatego zaraz zacznę głupio się tłumaczyć, że opis, który teraz nastąpi, nie jest dziennikiem podróży i że wcale nie chcę być podobny do Arno Sandstuhla, męża Thei, który pisze właśnie takie książki, ani nie chcę, żeby on był podobny do mnie, może, zdaję sobie z tego sprawę, mój brak akceptacji dla tego człowieka wynikał po prostu z zazdrości o tę niewinną pasję Arno, że sobie jeździ po świecie, a potem to opisuje, ale fakt ten z pewnością wzbudził we mnie pewne podejrzenia; stąd naprawdę wyjechać mogą tylko nieliczni, a o pasji do podróży tutejsi ludzie mogli najwyżej coś słyszeć, on tymczasem, wybraniec, o ile dobrze pamiętam, był w Tybecie i w Afryce, jednak coś każe mi sądzić, że mój bezpodstawny brak sympatii do niego nie brał się tylko z tego przelotnego podejrzenia, nie z zarzutów, jakie mu stawiałem, ani nawet z zazdrości, lecz z dwuznacznego zachowania Thei, która niechcący dotknęła sekretnego okresu mojego życia.

Kiedy pierwszy raz byliśmy u nich z wizytą, mieszkali po drugiej stronie miasta, bardzo daleko, chyba gdzieś w okolicach Lichtenbergu, nie wiem dokładnie, kiedy jechaliśmy gdzieś razem, zawsze zdawałem się na Melchiora, odkąd go poznałem, nie patrzyłem na nic innego, tylko na jego twarz, jego twarz zamieszkała w mojej twarzy, i nie starczało mi już uwagi na takie drobiazgi jak to, którą jedziemy, on patrzył na mnie, a ja patrzyłem na niego; po raz ostatni spotkałem się z Theą w S-Bahnie, przypadkowo, wtedy Melchiora już nie było w Berlinie, a Thea została sama, bo Arno wyprowadził się od niej, wpadliśmy na siebie na stacji przy ulicy Friedricha, kilka minut przed północą, „znowu szlag trafił mój sa-

mochód”, rozstaliśmy się przy Ostkreuz, ja musiałem się przesiąść w kierunku Schöneweide, nadal mieszkalem u Kühnertów, a ona jechała dalej, do domu, z tego spotkania wnoszę, że musieli mieszkać gdzieś w okolicach Lichtenbergu, gdzie niedzielnego popołudnia, kiedy pierwszy raz byliśmy u nich z wizytą, rozmawiałem z Arno jak pisarz z pisarzem, z namysłem, poważnie i nudno.

A stało się tak z powodu Thei, to ona sprawiła, że nasza wizyta była sztywna i uroczysta, otóż kiedy Arno, spóźniwszy się chwilę, wszedł do pokoju, a ja podniosłem się z fotela, Thea przytrzymała nas za łokcie, nie pozwalając, abyśmy podali sobie ręce; jak gdyby chciała nam dać do zrozumienia, że i bez tego coś nas łączy: „Dwaj pisarze zmagający się z kryzysem twórczym”, powiedziała, nawiązując do mojego poufnego stwierdzenia, i te więzy miały okazać się silniejsze od uścisku dłoni, do którego nie doszło, gdyż to jedno jedyne zdanie bezwstydnie zdradziło przede mną cierpienia Arno i moje cierpienia przed nim, Thea jednak tym wydającym nas obojwóch gestem chciała pomóc mężowi, z moją pomocą, za moją cenę, i to spowodowało, że teraz we troje należeliśmy do siebie, że troje zaczęliśmy jechać na tym samym wozie; nie patrzyliśmy sobie w oczy, gdyż nikt nie lubi, kiedy pokazuje mu się jego sobowtóra, do którego nie jest i wcale nie chce być podobny.

Sytuacja wydawała mi się bardzo dobrze znajoma, w czym, rzecz jasna, nie było ich winy.

A Melchior tylko śmiał się z nas, dwaj głupi pisarze, istotnie musieli stanowić zabawny widok, i wtedy, ze złości albo z bólu, pomyślałem sobie, że Arno dlatego może sobie jeździć po świecie, że jest zawodowym wojskowym agentem, szpiclem, szpiegiem, tylko tak, na marginesie, możliwe jednak, że pomyślałem wówczas, iż sobie myśli: nie, nie szkodzi, ani trochę nie szkodzi, że tak o nim myślę, bo przecież on wie o mnie to, co ja chciałbym utrzymać w tajemnicy, Melchior nie ukrywał bowiem przed Theą kierowanych ku mnie spojrzeń, nie tając w ten sposób tego, co miało pozostać sekretem, że jesteśmy nie tylko dobrymi przyjaciółmi, lecz także kochankami, i że Arno z pewnością o tym wie.

W dodatku musiałem okazywać mu szacunek; po pierwsze dlatego, że był dużo ode mnie starszy, miał około pięćdziesiątki, po

drugie – nie miałem pojęcia, o czym pisze, wiedziałem tylko, że przewodniki, i że jego książki ukazują się w stutysięcznych nakładach, i równie dobrze mogą to być wielkie dzieła, tak więc najbardziej oczywiste wydawało się, żebym zachowywał się z ostrożnością, uprzejmie i z szacunkiem, ale ta wzajemnie powściągliwa rozmowa, podczas której Thea, niczym urzędniczka w dzień wolny od pracy, nakrywała do kolacji, a Melchior szeptał coś na mój temat, była dla nas obydwóch krępująca.

Tymczasem Arno robił wszystko, by sprostać powierzonej mu roli, interesował się, czym zajmuję się podczas moich studiów nad teatrem, co piszę, był miły i czarujący, zażenowany swoją silniejszą pozycją, nawet w kilku słowach podsunął mi zręczną wymówkę, że przecież nie chce drążyć szczegółów, żebym tylko powiedział „tak ogólnie, rzecz jasna, inaczej przecież nie można, nie mam na myśli treści, tylko zarys”, rzekł, uśmiechając się, ale bruzdy, które pojawiły się wokół jego ust, zdradzały, że częściej bywa zamyślony niż uśmiechnięty, i że nie ma zwyczaju patrzeć w oczy, jak gdyby czegoś się wstydził albo miał coś do ukrycia.

A jednak nim zdążyłem coś odpowiedzieć, spojrzał mi w oczy, i choć nie wiem, czy zaciekawiło go to, co powiedziałem, był szczerzy, a to musiałem docenić, ponieważ kiedy czyjś wzrok studiuje treści ukryte za słowami, ciekaw, powiedzmy, związku, w jakim moja pisarska działalność pozostaje z faktem, że będąc mężczyzną, jestem zakochany w drugim mężczyźnie, gdyż przypuszczam, że właśnie takie myśli zajmowały go podczas naszej rozmowy, kiedy więc czyjeś zainteresowanie, zapominając o rozumie, próbuje w drugim człowieku dotknąć istoty jego zmysłowości, to tę chwilę należy uznać za bardzo cenną i poważną.

Wiedziałem, że kiedyś już stałem tak naprzeciw pewnego mężczyzny, w pokoju, całkowicie zdany na jego łaskę i niełaskę.

Arno, który pozornie godził się na wszystkie szaleństwa Thei, teraz jak gdyby uciekał wzrokiem od narzuconej nam przez Theę, niewygodnej dla nas obydwójga sytuacji, nie mogłem nie dostrzec tego w jego pięknych piwnych oczach, ale bardziej byłem zajęty wspomnieniami i słuchaniem tego, co Melchior szeptał do Thei, niż tym, co powiedziałem Arno o moich pisarskich planach, i nie

dostrzegłem, że dzięki jego wzrokowi wreszcie możemy być swobodni, jego oczy stały się dziecinnie ciekawe, otwarte i zachłanne, starannie dobierając słowa, albo nawet bez słów, mogliśmy sprawić, aby nasza rozmowa stała się nie tylko przyjemna, lecz także pełna treści; ale nie zrobiłem tego, nie odwzajemniłem jego spojrzenia, kiedy skończyłem mówić o sobie, o nic nie zapytałem, chciałem być uprzejmy, no i tak było mi wygodnie, po prostu powtórzyłem pytanie, które on sam mi zadał, i dopiero wtedy dostrzegłem, że powtórzone pytanie wniosło do naszej relacji obojętność, a kiedy dziwnie podnosząc do skroni obydwie dłonie, zrobił ośle uszy i skinął ręką, straciłem z nim kontakt wzrokowy.

Ten gest nie oznaczał, ma się rozumieć, niedoceniaenia własnej pasji czy własnej pracy, mówił raczej o zadziwieniu, urazie, rezygnacji z nadziei, że kiedykolwiek ktokolwiek go zrozumie, „Och, ja jestem tylko alpinistą”, rzekł, gestykulując niczym turysta, którego pytają, jak się udała wyprawa i czy była dobra pogoda, ale jak może się udać wyprawa i jaka może być pogoda?

Oczywiście odpowiedział na moje pytania, podobnie jak ja odebrał porządne mieszczańskie wychowanie, które uczy człowieka radzić sobie z brakiem zainteresowania, kłopotliwą sytuacją czy złością, uciekł się do neutralnej pogawędki, mówił tak jak zazwyczaj berlińczycy, jak gdyby wypowiadając każde słowo, płukał usta wodą, ale ja skupiałem się na czymś innym, na tym, co Melchior szeptał do Thei, mianowicie co zrobiłem na obiad, i nawet gdybym zrozumiał, co mówi do mnie Arno, swoją postawą, pochylonymi plecami, dawał mi do zrozumienia, że to nic ciekawego, że tylko ot tak sobie mówi, zabawia mnie słowami, a ja niemal straciłem głos, bo gotowałem się z powodu zbyt prywatnych opowieści Melchiora, i chciałem dać mu znać, żeby dał sobie spokój i się zamknął!, z drugiej strony domyśliłem się, albo wydawało mi się, że się domyślam, skąd jest mi tak dobrze znana ta poorana bruzdami, mówiąca coś do mnie twarz, mogła być twarzą mojego dziadka, gdyby dziadek urodził się Niemcem, powaga, cierpliwość i pozbawiona humoru pewność siebie, twarz demokraty, o ile taka istnieje, tak więc nie tylko nie potrafiłem pojąć sensu jego słów, ale sam straciłem głos, stał przede mną jak coś, co mogę zobaczyć, a ja tylko tyle z tego

wszystkiego rozumiem, że ciągle bardzo się pilnuje, pilnuje się, żeby nie powiedzieć niczego, co mogłoby być interesujące, żeby nie wprawić mnie w zakłopotanie czymś, czego musiałbym uważnie słuchać, i nim Thea skończyła nakrywać stół, zostawił mnie na środku pokoju; stałem oparty o fotel, lekko się huśtając, a Arno, prosząc o wybaczenie, wrócił do swojego pokoju.

Ładnie nakładają się na siebie jesienne obrazy.

Nigdy nie czułem się bardziej samotny.

Nigdy nie przeżywałem niczego, co wprawdzie wiązałoby się z moją przeszłością, ale ta przeszłość była jedynie daleką aluzją, aluzją do moich mało ważnych cierpień, zawieszoną w próżni, jak wszystkie chwile, które mogę nazwać teraźniejszością, wspomnienie smaków i zapachów ze świata, do którego już nie należę, mógłbym go nawet nazwać porzuconą ojczyzną, ale na próżno, nadaremnie bym go opuścił, skoro tu też nic mnie z niczym nie wiąże, tu też jestem obcy, i nawet bez znaczenia jest ten jeden jedyny człowiek, którego kocham, Melchior, on też nie potrafi mnie tu zatrzymać, jestem stracony, nie istnieję, wszystkie moje kości i chrząstki zamieniły się w galaretę, czuję, że jestem oderwany od wszystkiego, że do niczego nie jestem przywiązany, a jednak czuję się czymś, na przykład ropuchą, ciężko wtulam się w ziemię, jak oślizgły ślimak, cichutko nadśluchuję swojej nicości, nic się ze mną nie dzieje, jak gdyby w tej nicości była moja przyszłość, a z powodu nadchodzących jedna po drugiej jesieni także moja własna przeszłość.

I tej jesieni, w ostatnim pokoju mieszkania przy ulicy Steffelbauera, gdzie przed moim oknem rosły dwa klony, jeszcze młode i zielone, w otworze po wybitej nad oknem cegle zagnieździły się wróble, powinienem już nie tylko to czuć, ale także o tym wiedzieć, tymczasem czepiałem się nadziei, że odnajdę jakieś szczególne, całkiem wyjątkowe i tylko dla mnie zrozumiałe związki, że nadarzy się sytuacja, coś, jakiś nastrój, chociażby tragedia, dzięki którym w tej nieokreślonej nicości znajdę jakieś wytłumaczenie, że znajdę coś, co będzie do uratowania, co przyniesie sens i uratuje także mnie samego, wyswobodzi mnie z tej zwierzęcej egzystencji, ale nie poprzez moją przeszłość, bo ta już mi się śmiertelnie znu-

dziła, smak czkawki bywa dla człowieka takim mało eleganckim ostrzeżeniem, ani nie poprzez moją przyszłość, gdyż już dawno przestałem o niej myśleć, bałem się zaplanować nawet najbliższą chwilę, ale teraz czekałem na objawienie, na zbawienie, mogę się do tego przyznać, gdyż jeszcze nie wiedziałem, że wystarczy, jak znam to wielkie nic, mówiąc ściślej.

Thea, która była przyjaciółką Kühnertowej, przywiozła mnie swoim samochodem do mieszkania, w którym tak wiele czasu spędzałem sam.

Mogę właściwie powiedzieć, że cały czas byłem sam; jeszcze nigdy nie przeżywałem w ten sposób samotności w obcym mieszkaniu, wśród mebli na wysoki połysk, słońca wpadającego przez szczeliny w zasłonach, wzorów na dywanie, blasku podłogi, jej trzeszczenia, ciepła kaflowego pieca, ciepła, które czekało na wieczór, kiedy wrócą domownicy i zasiądą przed telewizorem.

Dom był cichy i tylko trochę ładniejszy od większości zniszczonych domów w okolicy Prenzlauerberg, „szare ptaki, stare berlińskie podwórka”, jak napisał kiedyś Melchior w przypominającym odę wierszu, tu też znajdowały się wytoczona z drewna, pomalowana na szaro poręcz, jak w moich poprzednich berlińskich mieszkaniach, na ulicy Chaussee albo na placu Wörthera, i pokryte ciemnym linoleum drewniane schody, wokół roznosił się klozetowy zapach pasty do podłogi, tak jak wszędzie w oknach klatki schodowej znajdowały się kolorowe witraże, już tylko połowa z nich była oryginalna, bogate kwieciste wzory z przełomu wieków, druga część okna była wypełniona szkłem, jakie się wstawia w zwyczajnych drzwiach, dlatego wszędzie panował sprawiający wrażenie biedy półmrok, podobnie jak w kamienicy przy ulicy Stargarder, gdzie mieszkałem najdłużej, i przywykłem, że tak właśnie wygląda klatka schodowa, choć ciągle jeszcze nie wydawała mi się taka swojska, jak którakolwiek klatka schodowa w Budapeszcie, brakowało mi jej przeszłości, nawet jeśli ta przeszłość dawała o sobie znać w najrozmaitszy sposób, chciałem zrozumieć wysyłane do mnie znaki, choć wiedziałem, że Melchior nie będzie z tego powodu bardziej do mnie należał, a jednak kiedy po południu wracałem do domu, na klatce schodowej zawsze wyobrażałem sobie, zamiast

mnie, twarz młodego mężczyzny, który kiedyś dawno przyjechał do Berlina, ów mężczyzna był dziadkiem Melchiora, i to on stał się bohaterem tej z każdym dniem coraz bardziej zawiłej historii, gdyż to właśnie on widział szklane kwiaty połyskujące w świetle podwórek, całe i nowe, kiedy przychodził do tej kamienicy i szedł na górę po schodach, widział jej geometrię, wyobrażoną przeszłość widoczną w czasie teraźniejszym.

Na dole, w ciemnej bramie, nawet w dzień należało przycisnąć błyskający czerwonym światłem włącznik, by zapalić światło na czas wystarczający do wejścia na półpiętro, tam trzeba było włączyć je ponownie, czasami jednak wchodziłem w ciemnościach, bo w nocy światło przycisku widoczne za dnia przypominało światło latarni morskiej na otwartym morzu, lubiłem na nie patrzeć i dlatego nie naciskałem guziczka, klatka schodowa tonęła w ciemnościach, i jeśli nawet nie wiedziałem, ile jest schodów, to ich skrzyp był wystarczającym drogowskazem, a na półpiętrach kierunek wskazywała mi czerwona lampka, więc rzadko zdarzało mi się źle stąpnąć po schodach.

W kamienicy przy placu Wörthera, w której mieszkał Melchior, robiłem podobnie, chodziłem tam niemal każdego wieczora, na drugim piętrze śledziła mnie przez wizjer w drzwiach poczciwa Hübnerowa, podobno siadała na wysokim stołku, ale jak wchodziłem w ciemnościach, nie widziała, kiedy wchodzę na górę, słyszała tylko, że ktoś idzie, i otwierała drzwi zbyt szybko lub zbyt późno.

Tu, w domu przy ulicy Steffelbauera, nie działało światło na klatce schodowej, paliło się tylko wtedy, gdy ktoś naciskał kontakt, a Kühnertowa, kiedy wieczorem szykowałem się do wyjścia i akurat była w kuchni, wychodziła, żebym nie schodził po ciemku, choć starałem się niepostrzeżenie wymknąć ze swojego pokoju, przeszkadzało mi bowiem, że o każdym moim kroku informuje Theę, która chce wszystko wiedzieć o Melchiorze, co więcej, po pewnym czasie nabrałem przekonania, że Hübnerowa też jest na jej usługach, jednak prawie nigdy nie udawało mi się wychodzić na tyle cicho, „Proszę pana! Przecież tu jestem, zaraz zapalę światło”, wybiegała z kuchni i trzymała kontakt, aż zbiegłem na parter, „Dziękuję”, wołałem, myśląc sobie, że Hübnerowa już czeka na drugim pię-

trze, bym ją grzecznie przywitał w smudze światła wydostającej się z jej mieszkania, ale w nocy, jeśli wracałem do domu, a z ulicy już nie dochodziło światło, musiałem stopami wyczuwać każdy stopień albo w świetle zapalonej zapałki patrzeć, którędy stąpam, a kiedy zapałka już się wypaliła, czułem strach, że nadepnę na coś żywego.

Melchior nigdy nie był w tej kamienicy.

Fakt, że wcześniej też nigdy nie przychodził do mojego mieszkania przy ulicy Stargarder, staraliśmy nie rzucić się w oczy, w czym zresztą miałem niezłą wprawę, nie nastroczało mi to trudności, aczkolwiek ten przymus w niemiły sposób przypominał mi przeszłość, choć raz, w niedzielne popołudnie, przed bramą, kiedy ulica Stargarder była całkowicie pusta, ale każdy przecież mógł stać ukryty za firanką, był stalowoszary listopadowy dzień, kiedy wszyscy siedzą w domu i piją kawę przed telewizorem, czuliśmy, że nie potrafimy się rozstać, i wcale nie musieliśmy się rozstawać, mogliśmy przecież zostać razem, ale już spędziliśmy ze sobą trzy dni i otaczająca nas powłoka, która odgradzała nas od wszystkich i od wszystkiego, stawała się coraz gęstsza, musieliśmy wydostać się spod niej, należało się rozstać, spędzić bez siebie choćby jeden wieczór, poza tym chciałem się wykąpać, bo w mieszkaniu Melchiora nie było łazienki, trzeba było myć się w misce albo pod kranem w kuchni, chciałem zaczerpnąć powietrza, i tylko jeszcze przed północą zbiec na ulicę i zadzwonić do niego, opierając się o chłodną szybę, usłyszeć jego głos i może nawet wrócić do niego, początkowo było tak, że odprowadzał mnie do rogu ulicy Dimitroffa, potem szedł kupić papierosy pod wiaduktem, gdzie znajdowała się otwarta jeszcze budka, ale nie potrafiliśmy się rozstać, choć próbowaliśmy na każdym rogu, wtedy odzywał się, że odprowadzi mnie do następnego skrzyżowania, albo ja go o to prosiłem, nie mogliśmy trzymać się za ręce, to byłoby śmieszne, tchórzliwe i głupie, ale coś przecież musieliśmy zrobić, nie patrzyliśmy na siebie, wreszcie on wyciągnął rękę, chcieliśmy poczuć siebie, akurat nikt nie przechodził, ale nie było mi dobrze, pragnąłem jego ust, tamtego popołudnia, przed tamtą bramą.

Kamienicę przy ulicy Chaussee też znał tylko z zewnątrz.

Był niedzielny wieczór.

Pokazałem mu moje okno, kiedy jechaliśmy tramwajem do teatru, na pustym peronie opowiadał mi o berlińskim powstaniu, ja tymczasem chciałem, i wtedy było to dla mnie bardzo ważne, żeby poznał ten dom, skoro już nie widział pokoju, w którym mieszkałem podczas pierwszego pobytu w Berlinie i który, mimo że nie miał o tym pojęcia, odegrał w jego życiu bardzo ważną rolę, tymczasem Melchior, choć moja przeszłość nie była mu obojętna, zdecydowanie odmówił, nie mógł postąpić inaczej.

Już drugi miesiąc zajmowałem mieszkanie przy ulicy Steffelbauera, przyzwyczałem się do niego i w pewnym sensie nawet je polubiłem, kiedy któregoś poranka Kühnertowa, paląc w piecu, oznajmiła, że przed południem przyjdą elektrycy naprawić światło na klatce schodowej, będą jej szukać, tymczasem ona nie może na nich zaczekać, i czy ja będę w domu, czy będę w domu?, „Tak”, odpowiedziałem, leżąc w łóżku, Kühnertowa klęczała przed piecem i tak jak zawsze, kiedy wykonywała jakieś prace domowe, podśpiewywała pod nosem; zazwyczaj byłem w domu, poza późnymi wieczorami; bo ona jest gospodynią budynku, powiedziała, i w takich wypadkach właśnie do niej się zwracają, i żebym im powiedział, że nie mogła zostać w domu, „w sumie nie wiem, co oni sobie wyobrażają i o co w tym wszystkim chodzi”, ale żebym im wytłumaczył, w czym rzecz, co się popsuło, i żebym ich, „świntuchów!”, nie wypuszczał, aż naprawią.

Byłem w domu całe przedpołudnie, czekałem na telefon od Melchiora, mieliśmy dla siebie już tylko kilka dni, ale nie zadzwonił, nie przyszli też elektrycy.

Gdyby się odezwał, na dworze była cudowna pogoda, bezchmurne niebo, słońce i cisza; rano palili tylko w dużym pokoju, tym znajdującym się najbardziej w głębi mieszkania, a noce były zimne, czasami temperatura spadała poniżej zera, no i wtedy palili także w moim pokoju; z przedpokoju przechodziło się do jadalni, a stamtąd do dużego pokoju, mój tymczasem znajdował się w przeciwnym skrzydle mieszkania, wchodziło się do niego z długiego i ciemnego korytarza łączącego ze sobą kuchnię i przedpokój, z niego można było jeszcze przejść do dwóch sypialni; drzwi

więc, poza tymi prowadzącymi do dużego pokoju i do mnie, całkiem niepotrzebnie zostawiałem otwarte, żebym szybko usłyszał dzwoniący telefon i mógł zaraz podbiec, gdyby Melchior zadzwonił, był dobry czas na wycieczkę albo dłuższy spacer, i gdybym stojąc w pokoju Kühnertowej, rozmawiał z nim przez telefon, zaproponowałbym, żebyśmy pojechali nad Müggelsee, jest piękna pogoda, powiedziałbym, patrząc z ciepłego pokoju na zimne słoneczne światło, i pewnie powiedziałbym też, że nie pojedę z nim do jego matki, bo tylko po to by mnie tam ze sobą zabrał, żeby ułatwić sobie pożegnanie, musiał pożegnać się z matką, zobaczyć się z nią, być może po raz ostatni, w taki sposób, żeby niczego się nie domyśliła, a ja nie potrafiłem sobie wyobrazić, że w tej nieogrzewanej sypialni już nigdy nie położy się razem ze mną do swojego, stojącego tam od lat jego dzieciństwa, łóżka, wydawało mi się to niemożliwe, żeby wszystko skończyło się raz na zawsze.

– Naprawdę tutaj spałeś? I łóżko stało w tym samym miejscu? A ta plama na suficie, wtedy też była tam ta plama?

Śmiał się z moich pytań, jak gdyby nie potrafił sobie wyobrazić, że tutaj coś może się zmienić, a niezmiennosc istniejącego stanu rzeczy może kogokolwiek zadziwić, nie, sprawy nie zmieniają się tak łatwo, a jego matka, której na pamiątkę zmarłej w połogu babci też dano imię Helena, również postarała się, by nic się tu nie zmieniało, i żeby to ona mogła dać swojemu synowi pewne schronienie; ale niezależnie od tego, Melchior miał powody, by żyć po swojemu, gdyż kiedy jeszcze mnie nie znał, opowiadał nie bez dumy, było mu niemal obojętne, z kim się wiąże, po prostu nie było mu potrzebne poczucie bezpieczeństwa, nie przebierał, a nawet może powiedzieć, że najbardziej byle jakie związki sprawiały mu największą radość, a żeby w jego pełnym zmian życia coś mogło być naprawdę stałe, wypracował sobie wyrafinowane wyczucie smaku, ascetyczne i oszczędne, w swoich niedostępnych, hermetycznych wierszach jawił się jako ktoś niewymagający i nieporuszony, a tutaj, cokolwiek by się działo, mógł wracać na każdy weekend, w walizce przywoził brudne ubrania, bo tutaj wszystko było tak jak dawniej, a matka upierała się, że nadal będzie mu prac, „tylko ta plama, ta plama zrobiła się później”, jego śmiech niewiele znaczył, był lekkim,

pozbawionym znaczenia chichotem, i ten wieczny uśmiech w jego oczach, chyba że wiedział, że nikt na niego nie patrzy.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że w niedzielę rano, kiedy obudzi mnie dźwięk dzwonu dochodzący przez małe okno rodzinnego domu, będę sam i nie będę czuł zapachu jego skóry mieszającego się z wonią pachnących w zimnym pokoju jabłek i słodkim zapachem ciastek pieczonych do niedzielnej kawy, jabłka leżały na szafie w równym rzędzie, lukrowane ciasteczka czekały popołudnia na marmurowym blacie kredensu, a okno zawsze było otwarte i smutne, kiedy nieostroźnie powiedziałem, że lubię jego pot, popatrzył na moje czoło i na moje usta, lubił go także mój nos, i jak gdybym sprawił mu ból, przytulił mnie, „jego smak, zapach i to, że go czuję”, wydał z siebie jakiś dziwny dźwięk, myślałem, że się śmieje, ale to był krótki, suchy szloch, a potem wyrwał się z niego zduszony, skomlący głos przerażenia, na skrzypiącym łóżku w sypialni w mieszkaniu przy placu Wörthera.

Wyobrażałem sobie drogę usłaną kolorowymi liśćmi biegnącą wokół jeziora Müggelsee, spokojne, gładkie lustro wody, szelest naszych kroków na miękkich od porannej mgły liściach, i dlatego właśnie chciałem poprosić, żebyśmy tam pojechali, bo może tam bym go namówił, żeby zmienił zdanie, choć przecież wiedziałem, że to niemożliwe, cudowna jesień!, czy żebyśmy poszli chociażby do zoo, skoro wyjazd na spacer nad brzeg jeziora Müggelsee był dla niego zbyt daleki lub zbyt kłopotliwy, bo jeśli wierzyć fotografiom, którym przyglądałem się, jadąc S-Bahnem, jeżeli można im wierzyć, to tam też jest las, z małymi, cienistymi drózkami, i jeszcze tam nie byliśmy, choć wybieraliśmy się niejedną raz, i wyobrażałem sobie też, że zabiorę nóż z kuchni Kühnertowej i na tym spacerze go zabiję.

W tym ostatnim berlińskim mieszkaniu wstawałem późno czy, mówiąc ściślej, budziłem się dwa albo trzy razy, aż wreszcie udało mi się wstać, czasami dopiero około południa.

Najpierw był hałas o świcie, kiedy doktor Kühnert przechodził przez cały przedpokój pomiędzy ich sypialnią a łazienką, przed moimi drzwiami, naciągałem wtedy poduszkę na głowę, żeby nic nie słyszeć; szedł do łazienki, najpierw robił siusiu, dobrze słyszałem

krótki, ostry plusk, poprzedzający długi, potem słabnący i nagle przerywany odgłos strumienia, ściana była cienka, wiedziałem więc, że celuje w dół, do miski, tam gdzie nawet po spuszczeniu wody ciągle jest woda, próbowałem czegoś takiego w dzieciństwie, i w pewnym sensie wzbudzało mój podziw, że ktoś jeszcze w wieku pięćdziesięciu lat, poważny profesor, zabawia się w ten sposób, ale kiedy najpierw było słychać tylko cichy stukot, a mocz, rozpryskując się, tępo uderzał o porcelanę, wiedziałem, że będzie się wypróżniał.

Samo pukanie jeszcze tego nie znaczyło, kiedy bowiem puszczała bąki na stojąco, podczas siusiania, miały one całkowicie inne brzmienie, niż kiedy siedział, a ich dźwięk wzmacniała wypukłość muszli, pomyłka nie wchodziła w rachubę, poduszka niewiele tu pomagała, ściana przenosiła jego stękanie, westchnienia ulgi i szelest papieru, nadsłuchiwałem, jak gdyby sprawiało mi to przyjemność, jak gdybym sam siebie zadręczał, że nie potrafię i nie chcę zamknąć uszu, tak jak człowiek może zamknąć oczy albo usta, ale uszy może tylko zatkać palcami, uszy same się nie zamykają; jednak to jeszcze nie był koniec, szum wody stanowił tylko kilkusekundową przerwę, i gdybym nie wiedział, co zaraz nastąpi, może miałbym wystarczająco dużo czasu, żeby ponownie zasnąć, lekko zapaść w sen, gdyż w tych nocnych i porannych przebudzeniach trudno było odróżnić sen od jawy, choć coraz mroczniejsze postacie ze snów nie bały się nawet zapalanej lampy, miały twarze, ręce, i oddalały się najwyżej o tyle, by nie można było ich dosięgnąć, skakały na półki, pomiędzy książki, albo odwrotnie, linie pokoju wdzierają się w sen, widzę nawet okno, ale to już jest okno ze snów, drzewo, otwór po brakującej cegle, w którym mieszkają wróble, zaczynałem być spięty, bo wtedy Kühnertowa stawała przed lustrem, pochylała się nad umywalką, zaraz nad moją głową, wydmuchiwała nos w dłoń, woda szumiała, Kühnertowa charkała, a zebraną flegmę wypluwała na mnie, do umywalki.

O siódmej obudziło mnie pukanie, „Tak, proszę”, mówiłem wtedy głośno w obcym języku, co znaczy, że najpierw chciałem po węgiersku powiedzieć to, co za chwilę mówiłem po niemiecku, i Kühnertowa, podśpiewując, wkraczała, by napalić w piecu.

Wieczorami po mokrym dywanie opadłych liści platanów chadzałem do teatru, podeszwy moich lakierków często nasiąkały wodą.

Melchior już zniknął z mojego życia.

Berlin czekał na mnie szary i mokry.

Po przedstawieniu poszedłem do mieszkania przy placu Wörthera, było zimno, i choć w świetle lampy zasłony straciły już purpurową czerwień, nie zapaliłem świec.

Na dworze padał deszcz.

W każdej chwili mogła pojawić się milicja i wyważyć drzwi.

W kuchni szumiała lodówka.

Nazajutrz wyjechałem i ja.

W Heiligendamm świeciło słońce, i właściwie nie rozumiem, co się tam ze mną wydarzyło.

Gdybym lekkomyślnie dobierał słowa, mógłbym nawet powiedzieć, że byłem szczęśliwy, a w tym uczuciu niewątpliwą rolę odgrywały morze, podróż i to wszystko, co ją poprzedzało, i śliczne małe miasteczko, nazywane z pewną dozą przesady „białym miastem morza”, gdyż po obydwu stronach okazałego domu zdrojowego mieściło się kilkanaście piętrowych willi, ustawionych w półkolu, frontem do morza, i wszystko było naprawdę białe, białe były żaluzje, teraz zamknięte, białe były ławki na zielonym trawniku, biały był portyk z ustawioną w rogu wieżą krzeseł, przeznaczonych dla grającej w lecie orkiestry, białe były ściany między przyciętymi równo ciemnozielonymi bukszpanami i strzelającymi w niebo czarnymi sosnami, ale najważniejsza była chyba złudnie cudowna pogoda i cisza.

Mówię „złudnie”, gdyż świszczwał wiatr, a wielkie fale uderzały o brzeg, stalowoszare, silne, wzbijające białą pianę fale, a mówię o ciszy, gdyż pomiędzy dwoma uderzeniami czujne zmysły zapadały się w przepaść pomiędzy falami, w pełne napięcia oczekiwanie, i wydawało się zbawienne słyszeć głos siły przeistaczającej się w ciężar; wieczorem zaś, kiedy wychodziłem na spacer, wszystko było wzniosłe, świecił księżyc stojący w pełni, nisko nad samym morzem.

Szedłem wzdłuż grobli do Nienhagen, do sąsiedniej miejscowości, po stromej stronie grobli huczało morze, po drugiej rozciągało

się nieme trzęsawisko, a jedyną żywą osobą pomiędzy żywiołami byłem ja, po południu skończyły mi się papierosy, a ponieważ Nienhagen, chronione od wiatru przez Gespensterwald, czyli „las upiorów”, było niedaleko, zapalką złamaną na pół zmierzyłem na mapie odległość, mogłem tam dojść na piechotę; co pewien czas moje oślepienie wiatrem oczy dostrzegały błyski latarni morskiej, zaplanowałem sobie, że właśnie tam kupię papierosy, a nim ruszę w drogę powrotną, napiję się gorącej herbaty; wyobrażałem sobie, że przy stole w spokojnej gospodzie siedzą sobie rybacy, palą się świece, wyobrażałem sobie, jak tam wchodzę, nietutejszy, widziałem odwracające się ku mnie twarze i moją własną twarz.

Najwyraźniej i najzwyczajniej szedłem przed sobą, stąpając lekko, a ciężkimi krokami podążałem za sobą.

Jak gdyby źródłem cierpienia było to rozdwojenie, jak gdybym to nie ja nie mógł go znieść, ale moje ciało.

Wiatr wdzierał się pod mój szeroki płaszcz, pchał mnie naprzód, przed siebie, i choć wychodząc, założyłem na siebie wszystkie ciepłe ubrania, było mi zimno, niby nie czułem chłodu, ale się bałem, wiedziałem, że w taką pogodę człowiek marznie, chyba że oszukują go łaskawe zmysły; w innych okolicznościach może bym nawet zawrócił, zwyciężyłaby obawa, takie powroty zawsze z łatwością tłumaczyłem tym, że jest zbyt zimno i boję się przeziębienia, to zbyt wysoka cena za taką bezsensowną nocną wyprawę, ale teraz nie potrafiłem się oszukać: jak gdyby nagle zmieniał się mój własny obraz, który dzięki wielkiej samodyscyplinie człowiek tworzy z trudem, by otoczenie zaakceptowało go, i żeby tę karykaturę sam uznał za prawdziwą, gdyż to byłem ja, funkcjonowały tu wszystkie moje znajome nawyki, a jednak coś było inaczej, czułem jakąś szczelinę, nawet niejedną, szczeliny, przesunięcia, przez które można było dostrzec jakąś obcą istotę.

Kogoś, kto dawno temu, ale jednocześnie dziś, przyjechał do Heiligendamm i wieczorem udał się do Nienhagen.

Jak gdyby to, co kiedyś nastąpi, zdarzyło się przed pięćdziesięciu, siedemdziesięciu, a może nawet stu laty.

Nawet jeżeli nic się nie wydarzy.

Poczucie, że rozpadam się na dwie osobowości, było nowe, podniecające, niemal przyprawiające o szaleństwo, a jednak przyjmowałem je ze spokojem człowieka doświadczonego, jak gdybym był starszym od samego siebie o pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, a nawet sto lat miłym staruszkim, który wspomina swoją młodość; w czymś takim nie ma jednak niczego dziwnego ani mistycznego, a że nie miałem odwagi zażyć proszków nasennych, które od lat noszę ze sobą w małym okrągłym pudełeczku, choć przecież nie potrafiłem sobie wyobrazić bardziej poetyckich okoliczności śmierci, więc żeby coś zrobić, za pomocą wyobraźni musiałem oddalić się od samego siebie, uwolnić się od swoich niejasnych uczuć, gdyż to, co uznawałem za przyszłość tej obcej istoty, nie było niczym innym jak moją przeszłością i teraźniejszością, wszystkim, co już się wydarzyło albo się wydarzy.

Nadzwyczajność sytuacji brała się z mojego stanu emocjonalnego, z tego, że nie potrafiłem utożsamić się ani z jednym, ani z drugim, jak gdybym był aktorem grającym w romantycznych dekoracjach, a moja przeszłość była jedynie trywialnym wytworem mojej wyobraźni, podobnie jak będą nią moja przyszłość i wszystkie moje namiętności, wszystko to można by zabawnie odnieść do mojej przyszłości albo historycznej przeszłości, jak gdyby nigdy się nie wydarzyło, a jeśli się wydarzyło, to bardzo dawno, wszystko ze wszystkim może się zamieniać, moja fantazja przechwytywała chaos przesuwających się płaszczyzn życia i przemieszczała je w sferę codziennych kłopotów, którą mogłem określić jako mnie samego, kogoś, za kogo chcę być uważany, ale kim nie jestem.

Jestem wolny, myślałem wówczas.

Moja wyobraźnia tylko nieudolnie i przypadkowo wybiera z mojej nieskończonej wolności małe szanse, by stworzyć taki obraz mojej osoby, który będzie podobał się innym i który uznam za własny, sądziłem.

Dzisiaj już tak nie uważam, ale wówczas ta świadomość okazała się silna i jednoznaczna, z taką ostrością widziałem tę istotę, tak różną od moich wszelkich wyobrażeń, szła ze mną, a ja szedłem z nią, marzła, a ja bałem się za nią, że będę musiał się zatrzymać, musiałem przykleknąć, by podziękować za tę chwilę, choć moje ko-

lano właśnie teraz nie chciało pokornie się ugiąć, raczej pragnęłam zachować się neutralnie, jak gdybym był kamieniem, jednocześnie nim nie będąc, ale i to mi nie wystarczało, choć nawet przymknął-
łem oczy, by zostać chorągiewką na wietrze.

Księżyc stał tak nisko, że wydawało się, iż można go dotknąć, że jest na wyciągnięcie ręki, linia horyzontu odbijała się w bladym świetle, które nie zaznaczało nerwowo zmieniającej się linii fal, jak gdyby była tam woda gładka jak lustro, to też złuda perspektywy, pomyślałem, jak gdyby po drugiej stronie grobli, na bagnach, światło nie miało w czym się odbijać, nie było tam ani powierzchni, ani ostrza, w których mogłoby się odbić, i wreszcie zginęło, skończyło się, i mimo że wyteżałem wzrok, nie byłem w stanie niczego dostrzec, nie było tam ani ciemności, ani czerni, tam ziała pustka.

Po południu przyjechałem do Heiligendamm, trochę przed zmierzchem, kiedy zaszło słońce, a księżyc stał już wysoko.

Panowała cisza.

Jak gdyby nawet wiatr się zatrzymał, zawrócił nad groblą, jak gdyby wcale nie było wiatru.

Pokrywa ją trzcina i sitowie, albo udając, że to zwyczajna gleba, porasta trawą.

Kiedyś zabawiałem się myślami o upiorach, teraz jednak ta pustka wydała mi się przerażająca.

Wówczas, wiele lat temu, i o tym, aczkolwiek bardzo chciałbym tego uniknąć, później będę musiał sporo powiedzieć, kiedy niespodziewanie pojawił się jakiś cień, ruch albo hałas, za moimi plecami wołał mnie po imieniu, mówił do mnie albo wraz ze mną milczał, stawał się ucieleśnieniem moich obaw, teraz jednak skamieniały opadał nad bagnem, nie poruszał się, nie wydawał z siebie żadnego głosu ani nie rzucał cienia.

Tylko mnie obserwował.

Stał nad bagnem, pusta powłoka, obca, tak określiliby to ktoś, kto tu zabłądził, z ironią, i ta ironia nie była przyjemna.

Fakt, że nie przerażał mnie, a raczej dyscyplinował, jego siła leżała w tym, że nie pozwalała szaleć mojej rozbudzonej wyobraźni, szykującej się do galopu, pragnącej wymyślić własną historię, ale pragnął tego daremnie, gdyż jednoznacznie dawał mi do zrozumie-

nia, że to on przesunął w moim ciele płaszczyzny czasu, że to on stworzył w mojej duszy szczeliny, w które będę mógł zajrzeć, a jeśli już nie mam wystarczająco dużo humoru albo siły, by umrzeć, to zawsze będę czuł ból, że tu jest, poza mną, i w każdej chwili może mnie dosięgnąć i dotknąć moich niezbędnych do życia narządów, a od nich, choćbym bardzo tego chciał, nie mogę przecież się uwolnić, ja też nie mam ich więcej jak jeden albo dwa, swojego istnienia nie mogę zastąpić fantazją, żebym się nie oszukiwał i nie wierzył, że taki księżycowy, nadmorski pejzaż może uczynić mnie wolnym i szczęśliwym.

Wtedy już stałem, jak ktoś, kto dopełnił koniecznego obrządku, i odruchowo strzepywałem kurz z kolan. Co do strzepywania kurzu, to bezskutecznie się tu tłumaczę, że to tylko wpojone umiłowanie porządku, czuję, że jestem śmieszny i fałszywy; szybko się odwróciłem, czy nie zrobię lepiej, jak w porę wrócę do domu, zamiast iść do restauracji, w której po południu, w sali pełnej kanap, oddzielonej szklanymi drzwiami, tak przyjemnie było coś zjeść, gdzie mogłem kupić papierosy i wypić herbatę, i która jest otwarta do godziny dziesiątej, gwizdał wiatr, chciałem wrzeszczeć razem z nim, rzucić się na kamienie, ale odszedłem już bardzo daleko od świateł Heiligendamm, nawet nie spostrzegłem się, jak daleko, i jakbym znalazł się wyżej, ponieważ gdzieś na dole kilka maleńkich wibrujących światełek kazało mi się domyślać, że są tam jakieś domy, tak samo wystydziłem się swojej ucieczki, jak pusty wzrok moczarów boleśnie muskał moje plecy.

Wyobraziłem sobie, że idę naprzód.

Nie umiałem iść w taki sposób, aby jedna połowa mojego ciała, a zwłaszcza plecy, nie czuła jego dotyku.

A gdybym tak zszedł na sam brzeg?

Kiedy jednak w mojej głowie zrodził się ten pomysł, całkiem zresztą niepotrzebny, gdyż piana wzburzona w żółtawym świetle księżycy dochodziła aż do stóp grobli, moja przesunięta połowa tylko śmiała się z tego, że tamta druga, w nadziei, że kamienna grobla ją ochroni, chciała uniknąć czegoś, co musi zaakceptować, gdyż kiedy zrodził się ten pomysł, szła z nią jakaś postać, to nie był upiór, ale zwykłe wyobrażenie młodego mężczyzny, który wchodzi

przez tamte szklane drzwi, rozgląda się, ich wzrok spotyka się ze sobą, a promienie słońca wpadają do sali.

Znów musiałem się odwrócić i ruszyć w stronę Nienhagen.

To jest coraz bardziej śmieszne, pomyślałem.

Byłem tu i wyobrażałem sobie, że mnie tu nie ma, szedł ze mną stary mężczyzna, którym kiedyś zostanę, jak dożyję, a z nim jego młodość, stary człowiek wspominający młode lata nad brzegiem morza, który doskonale odpowiadał moim literackim celom; sala z kanapami, filiżanka z kawą na stole przykrytym białym adamaszkowym obrusem, którą właśnie podnosi do ust, szedł też z nami młody mężczyzna, który rano w restauracji, trzymając rękę na oparciu swojego krzesła, radośnie i uprzejmie pozdrowił wszystkich jedzących przy wspólnym stole, ale jego, żeby lepiej mu się przyjrzeć, gdyż to on był tym, kto w gruncie rzeczy najbardziej mnie interesował, natychmiast odesłałem z powrotem do drzwi, w których się pojawił, gdyż czułem, że to on będzie tym, kto całkowicie należy do mnie, gdyż on nie istnieje, no i poza nami był tam jeszcze ktoś, kto nas obserwował i od kogo zapewne dostałem w zamian tego jasnowłosego młodzieńca, gdyż sam pozwoliłem, bym stał się narzędziem jego siły.

Zapewne to była chwila, w której zawarłem to nawiązywane od wielu lat porozumienie z samym sobą, bo gdy dziś, mając świadomość wszystkich tego konsekwencji, jako smutny mędrzec wyobrażę sobie to, co niemożliwe, mianowicie to, co by było, gdybym idąc za głosem moich obaw, nie podążył do Nienhagen, ale zawrócił, i jak każdy zdrowo myślący człowiek usadowił się wygodnie w swoim hotelowym pokoju, wtedy, być może, moja historia potoczyłaby się zwyczajnie, wtedy te zawiłości i wybryki, których pełne było moje życie, posłużyłyby mi za drogowskasz mówiący, czego mi nie wolno, może wówczas z trzeźwym i zdrowym uczuciem odrazy zdusiłbym rozkosz, którą ofiarował mi urok mojej inności.

SPIS TREŚCI

Urok mojej inności	5
Popołudniowy spacer	25
Słońce jeszcze przygrzewało	44
Przyszedł telegram	60
Spoczęliśmy na dłoni Boga	76
Ból ciągle powracał	93
Utrata i powrót świadomości	109
Popołudniowy spacer, ciąg dalszy	126
Dziewczęta	146
Pokój Melchiora na poddaszu	214
Opis dawnego fresku	261
Trawa porosła palenisko	288
Opis teatralnego spektaklu	430
<i>Table d'hôte</i>	511
Rok pogrzebów	540
W którym opowiada Thei wyznanie Melchiora	581
Tajemne nocne rozkosze	650
To już koniec	674
Ucieczka	776

Książka wydana z okazji obchodów Roku Kultury Węgierskiej 2016–2017



Zrealizowano dzięki wsparciu finansowemu
Hungarian Books and Translations Office – Petőfi Literary Museum



Część prac nad przekładem zrealizowano w ramach stypendium
z Funduszu Promocji Twórczości Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



Projekt współfinansowany
w ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”